

Antyatlantycki zwrot Merza

Od Adenauera aż po Merkel, niemiecka chadecja uchodziła za strażniczkę idei europejskiego atlantyzmu. Jasne było dla każdego, że to lewica od czasu do czasu wprowadza niemiecką politykę na trajektorię otwartej kolizji z Ameryką, dostarczając wtedy nieuchronnie radości i satysfakcji Francji, tak choćby jak to bywało za czasów wielkiej przyjaźni Schrödera z Chirakiem.

Po roku 2013 na niemieckiej scenie pojawiła się jeszcze na prawicy druga istotna siła, skłonna do odrzucania swoistej „amerykańskiej okupacji myślowej” Niemiec po II wojnie światowej; to oczywiście AfD, przekonana (skądinąd nie bez racji), iż to Amerykanie pozbawili Niemców prawa do posiadania dumy narodowej. Ilekroć jednak chadecy obejmowali władzę, najpierw w Bonn, a potem w Berlinie, to można było mieć pewność, iż o ile zdarzać się mogą doraźne kolizje interesów biznesowych (jak choćby amerykańskie pretensje co do permanentnej nierównowagi handlowej), to w podstawowych kwestiach politycznych Niemcy będą trwać przy ortodoksyjnym atlantyzmie. Z pamiętników Merkel wiemy, że mogła żywić personalną abominację do Trumpa, ale cztery lata jego pierwszej kadencji poświęciła na spokojne łagodzenie antyniemieckich prowokacji, podejmowanych przez Amerykanów. Pryncypium chadeckiej geopolityki było bowiem nienaruszalne.

Prawdę mówiąc, nowy kanclerz Friedrich Merz jest chadakiem dokładnie z tej samej szkoły, a nawet – jak się zdawało – był dotąd prymusem w tej szkole atlantyizmu. To zresztą zawsze budziło szczególniejszą niechęć do niego ze strony niemieckiej lewicy. Komunizujący publicysta Werner Rügemer, w wydanej w tych dniach książce „BlackRock Germany”, demaskuje Merza jako niemal wtoczkę USA, której celem jest posłuszne realizowanie amerykańskich interesów, zwłaszcza gdy idzie o militaryzację Niemiec oraz wspieranie ekspansji agresywnego amerykańskiego kapitału, oczywiście z zyskiem dla oligarchów zza Atlantyku i szkodą dla niemieckich pracowników. I nie jest tak, by na rzecz tezy Rügemera nie przemawiały żadne fakty. Od 2004 roku (czyli jeszcze w czasie, gdy formalnie pozostawał zastępcą Merkel w CDU) Merz pracował dla amerykańskiej finansjery, a przez pięć lat przed objęciem w roku 2021 szefostwa partii reprezentował giganta inwestycyjnego BlackRock, doprowadzając do przejęcia przezeń akcji tak ikonicznych niemieckich firm, jak Volkswagen, BMW, Siemens czy Deutsche Bank.

Zważywszy zatem ideowe dziedzictwo niesione przez niemiecką chadecję, a nadto osobowościową skłonność Merza do raczej konserwatywnego światopoglądu, można było zakładać, że nowy kanclerz stanie na czele europejskich starań o osiągnięcie długofalowego *modus vivendi* pomiędzy Trumpem i Europą. Co znów nie wydawało się aż tak trudne, skoro amerykański prezydent publicznie uznał niemiecki wyborczy zwrot w prawo za część własnego ideowego sukcesu. W swoim stylu tak napisał na platformie X o wynikach niemieckich wyborów: „To wielki dzień dla Niemiec i USA pod przywództwem dżentelmena Donalda Trumpa”. Ów przesadny, ale tak charakterystyczny dla Trumpa akcent na imperialną rolę Ameryki i jego własne przywództwo nad światem zachodnim powinien być

Merzowi w gruncie rzeczy na rękę, gdyż dawał dobry pretekst do startu nowego kanclerza, jako wyłaniającego się przywódcy Europy, który w obecnej trudnej sytuacji chce i potrafi na powrót powiązać obluzowane więzy łączące obie strony Atlantyku. W końcu wielcy przywódcy mają szansę się ujawnić tylko w czasach wielkich kryzysów.

Przyznam więc, że nie mogłem wyjść ze zdumienia, gdy w niedzielny wieczór 23 lutego słuchałem tego co mówi Merz, nim nawet jeszcze formalnie ogłoszono jego wyborcze zwycięstwo. Nowy kanclerz obwieścił bowiem Niemcom, że „Amerykanie są niemal obojętni na los Europy”, w związku z czym on „uznaje za swój absolutny priorytet osiągnięcie krok po kroku niepodległości względem Ameryki”. Po czym zaczął snuć dywagacje na temat planowanego na czerwiec szczytu NATO, podając w wątpliwość, czy na szczycie „będziemy jeszcze rozmawiać o NATO w jego dotychczasowej formie, czy też będziemy musieli znacznie prędzej ustanowić niezależne europejskie możliwości obronne”. A trochę wcześniej, tuż przed wyborczą niedzielą, Merz publicznie zastanawiał się nad podzieleniem się przez Paryż i Londyn z innymi krajami, w tym Niemcami, bronią jądrową. Czyli nad projektem proponowanym kiedyś przez Macrona, ale kategorycznie odrzuconym przez atlantycko rozumującą Merkel.

Można domyślać się, że wojownicza retoryka nowego kanclerza jest formą odreagowania z gruntu niemądrego zaangażowania Amerykanów w wyborcze wsparcie dla głównego wroga Merza – prawicowej AfD, odbierającej chadekom sporą pulę konserwatywnych wyborców. Nie ma wątpliwości, że ekipa Trumpa żyje w przekonaniu, iż potrafi się walnie przyczynić do prawicowego zwrotu na całym kontynencie europejskim, a intensywność politycznych sojuszków chce uzależniać od ideowych więzi poszczególnych rządów z narodowo-konserwatywnym ruchem

MAGA. Skądinąd Biden nie czynił inaczej, tyle tylko, że sojusze uzależniał od dość arbitralnie definiowanej w Waszyngtonie „osi demokracji”, budowanej z premedytacją przeciw rosnącej w siłę europejskiej nowej prawicy. Jak nie bez racji dowodził dawno temu wielki amerykański teolog i moralista Reinhold Niebuhr, Ameryka – to taki kraj, który nie może istnieć bez „hegemonii reguł”, a zatem swój imperializm musi zawsze ubierać w jakąś wyższego rzędu aksjologię polityczną. Tak jest istotnie od czasu sławnej wojennej deklaracji Wilsona z 1917 roku, który po raz pierwszy ogłosił, że zamierza „uczynić świat bezpiecznym dla demokracji”. Rzecz tylko w tym, iż w obliczu wojny kulturowej przestała istnieć jedna Ameryka, propagująca po prostu podstawowe swobody polityczne, a pojawiły się Ameryki dwie, bijące się ze sobą na śmierć i życie o to, która głosi „prawdziwe”, a która „zafałszowane” przesłanie wolności. Dla jednej Ameryki miernik stanowią np. prawa kobiet czy swoboda aborcyjna, dla drugiej – wolność słowa czy religii. Współcześnie jasno widać, że każda z dwóch Ameryk chce uzależniać swoje sojusznicze zobowiązania od przyjęcia jej wersji jedynie prawdziwego, ale zawsze uniwersalistycznie traktowanego przesłania wolności.

Merz się najwyraźniej obraził, że to już nie on – oddany lobbysta BlackRock, wraz z zasłużoną dla europejskiego atlantyzmu niemiecką chadecją, jest miarodajny dla obowiązujących w Ameryce hegemonicznych reguł, ale że jest to teraz Alice Weidel i jej partia, w której akurat Merz upatruje zagrożenia dla demokracji. I gotów jestem bronić tezy, iż werbalny zwrot antyatlantycki Merza nie zdarzyłby się, gdyby nie sławetny występ Muska na przedwyborczej konwencji AfD. Wraz z tym występem nastąpiła bowiem atlantycka wywrotka na niemieckiej scenie politycznej: AfD, uważana dotąd za partię mało atlantycką, ze względu na wspomnianą wyżej kwestię niemieckiej dumy narodowej, po tym występie nagle stała się uosobieniem atlantyzmu, w

związku z czym Merz dokonał *deus ex machina* antyatlantycznego przewrotu w chadecji. To trochę tak, jak w Polsce z antynomią wiar PiS-u i Platformy; skoro jedni w coś wierzą, to drudzy zostają skazani na wiarę w coś przeciwnego, bez względu na polityczny rozsądek.

Oczywiście, po brukselskiej deklaracji Hegsetha, iż Ameryka ma na Dalekim Wschodzie głównego wroga, którym musi się teraz zająć, po impertynencjach ideowych Vance'a w Monachium oraz po kategorycznym przegnaniu Europy z negocjacji nad rozejmem na Ukrainie – istnieje naturalny kryzys relacji transatlantycznych. Jak wiadomo, przy dobrej woli kryzysy pomiędzy sojusznikami są po to, aby je rozwiązywać, albo co najmniej łagodzić. Doskonale świadom jest tego Mark Rutte, który w reakcji na Merza spokojnie tłumaczy, iż budowa europejskich sił nuklearnych to plan na 20-30 lat, zaś generalnie „zbudowanie europejskiego NATO w ciągu 10-15 lat jest mrzonką”. Ale co najważniejsze, Rutte stawia po temu warunek *sine qua non*: od teraz „nie dwa procent, ale osiem, dziewięć, czy nawet dziesięć procent PKB na obronę”. A tymczasem nowy kanclerz już właśnie stoi wobec niemieckiej kwadratury koła, polegającej na tym, że nie ma dobrego sposobu na sfinansowanie własnych podstawowych zobowiązań wyborczych (armia, cyfryzacja, infrastruktura), szacowanych na sto miliardów euro. Ale to pikuś, bo stanowi tylko dodatek do niesfinansowanych nadal sześciuset miliardów zobowiązań poprzedniego rządu, z powodu których upadł gabinet Scholza i odbyły się przedterminowe wybory. A żeby znieść konstytucyjny hamulec zadłużenia, Merz musiałby dogadać się z postkomunistyczną lewicą, która – owszem – pójdzie na coś takiego, ale pod kluczowym dla jej pacyfistycznej ideologii warunkiem cięcia wydatków na armię. Widać, że holenderski szef NATO paroma oczywistymi zdaniami obraca radykalną antyatlantyczną narrację Merza w dąsy rozzłoszczonego dzieciaka. Zaś nowy kanclerz musi rychło sam sobie odpowiedzieć na

pytanie, czy niesiony złością popędzi wprost na już zastawione nań wnyki, czy też wróci po rozum do głowy i zabierze się za oswajanie Trumpa, zgodnie z egzystencjalnym interesem Europy.

Jan Rokita

fot. Alex Kuhn/ArtService/FORUM